

Kamiński, Ryszard

Nadzieja była naszym szańcem (3)

Przegląd Pruszkowski nr 1, 21-28

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Nadzieja była naszym szańcem (3)

W numerach 1/93 i 2/93 publikowaliśmy wspomnienia Anny i Ryszarda Kamińskich, dotyczące aresztownia Ryszarda, jego pobytu w warszawskiej katowni UB, a następnie w więzieniu mokotowskim. Dzisiejszy odcinek (ostatni) stanowi końcowy fragment więziennych losów Ryszarda, jakim jest jego pobyt w Rawiczu.



Za kratą, dzielącą wagon na dwie części, usadowili się strażnicy z bronią. Siedzieliśmy w "więźniarkach", wsłuchując się w stukot kół. Lecz jeszcze szybciej od wiozącego nas pociągu biegly przez nasze głowy niespokojne myśli. Trzymano nas do tychczas na Mokotowie, skąd samochodami podwieziono nas do tego pociągu, specjalnie dostosowanego do przewozu więźniów. Usadowieni na ławkach, wpatrywaliśmy się w małe, okratowane okienko umieszczone tak wysoko, że nie sposób było dojrzeć mijanych okolic.

- Dokąd nas wiozą? - był to główny motyw naszych myśli.

- Jak długo przyjdzie jeszcze siedzieć? - każdy starał się odgadnąć swoją przyszłość, zależną przecież

od tyłu nie dających się przewidzieć okoliczności. Wszyscy mieliśmy długoletnie wyroki: dziesięć, piętnaście lat, dożywocie. Ale nikt nie wierzył, nie chciał wierzyć, że przyjdzie mu odsiedzieć całość. To się musi zmienić, napewno przyjdzie odmiana, może już niedługo?

Upał na zewnątrz stwarzał trudną do wytrzymania duchotę w wagonie. Tym trudniej było opanować niespokojne myśli, uporczywie płaczące się po głowie. Mogliśmy jechać do Wronek lub do Rawicza, do jednego z dwóch najcięższych więzień. Słyszeliśmy o tym ostatnim z ust przedwojennego naczelnika więzienia w Rawiczu, który ze swego wysokiego stołka został przez władzę ludową strącony aż na samo dno - do więzienia.

- Panowie - opowiadał - u mnie ludzie nie mieli źle. Wtedy więźnia się nie maltretowało. Czasem dostawali nawet kakao, siedzieli w pojedynczych celach, czysto, prawie pensjonat, jak Boga Kocham! W ciągu dnia drzwi do cel były otwierane, więźniowie mogli odwiedzać się, uczyć, pisać listy albo i pamiętniki, jak chcieli. Były książki, a jakże... Bierut też u mnie siedział... Cholera, jak to nigdy w życiu nie wiadomo... -

Jadąc więźniarką przypomniałem sobie ten idylliczny obraz przedwojennego Rawicza i trochę mnie to pocieszyło. Może nie będzie tak źle, skoro siedział tam Bierut, obecny pan życia i śmierci Polaków.

Dojechaliśmy. Był to Rawicz. Dziwne to było więzienie, umiejscowione na dalekim przedmieściu, prawie w polu. Składało się z dwóch głównych budynków. W otynkowanym na biało mieściły się cele, przedwojenne więzienne izolatki. Budynek z czerwonej cegły przeznaczony był na cele dla pracujących (przeważnie kryminalistów). Tam też znajdowała się izba chorych. Dalsze budynki to warsztaty, hodowla nutrii, kuchnia i biuro.

Komendantem pawilonu dla więźniów politycznych był niejaki Pukawka. Starał się udawać "równego chłopca", przemawiając do nas z jowialnym uśmiechem:

- Ja to trochę znam życie. Jak widzę, że coś się zmienia, to wchodzę na jakąś górkę, ślinię palec i sprawdzam, z której strony wiatr wieje. Widzę, stąd, dobra, na to trzeba postawić. I co? Wygrałem! A wy? Złście postawili, ot co! Frajerzy! -

Trafitem na II oddział, do parterowej celi o powierzchni mniej więcej 5 metrów kwadratowych, którą dzieliłem z pięcioma kolegami. Towarzyszami niedoli byli ludzie zupełnie mi nieznanymi. Musieliśmy oddać nasze ubrania, w zamian za co dostaliśmy ubranie i bieliznę więzienną, do tego drewniaki. Ubrania były z reguły za małe, jak z młodszego brata, wyglądaliśmy więc dość żałośnie, żeby nie powiedzieć pokracznie, tym bardziej, że ostrzyżono nas "na rekruta". Wyposażenie celi stanowiły jakieś płachty, które szumnie nazywano "kocami", prześcieradła, miski i łyżki. Było to pełne wyposażenie, więcej nie wolno było mieć, żadnej osobistej rzeczy "która jego jest".

Na "umeblowanie" celi składały się: rozkładane łóżko, które w czasach przedwojennych bywało na dzień chowane w ścianę, lecz wówczas w takiej celi przebywał jeden więzień, za "humanitarnych" rządów peerelowskich, kiedy te same cele dzieliło sześciu chłopca, łóżko było na stałe rozłożone, bo składaliśmy na nim nasze sienniki. Siennik - to było określenie grubo przesadzone w stosunku do worków z niewielką ilością słomy startej na sieczkę. Był jeszcze mały stolik, dwa taborety, kibel i trzylitrowy dzbanek na wodę, a nadto wisząca szafka, gdzie można było przechowywać zakupioną "na wypiskę" żywność.

Dzień zaczynał się o 6⁰⁰ apelem, podczas którego wystawiało się kibel, dzbanek - który napełniano nam wodą i zwracano nam ubranie. Ubranie bowiem co wieczora, złożone w kostkę i ułożone na taborecie, trzeba było wystawiać na korytarz.

Następowało mycie. Sześciu mężczyzn myło się w litrze wody, gdyż pozostałe dwa litry musiały wystarczyć do picia oraz pozmywania naczyń po śniadaniu i obiedzie.

Przynoszono śniadanie: trudna do zidentyfikowania lura i kawałek ciemnego chleba. Owe "menu" można było uzupełnić bądź "ceresem" (rodzaj stałego tłuszczu otrzymanego z oleju), bądź marmoladą z buraków, ewentualnie cebulą lub czosnkiem, które to produkty mogliśmy kupić na tak zwaną "wypiskę" możliwą do otrzymania nie częściej niż raz na miesiąc.

Wypiska opiewała na 20 złotych. Dysponując tą kwotą można było kupić albo wspomniane "urozmaicenie" menu, albo całą sumę puścić z dymem, ewentualnie dzielić ten "kapitał" między jedzenie i papierosy.

Tu muszę wyjaśnić, że pieniądze z domu na ową "wypiskę" otrzymywali tylko nieliczni. Jednakże i tutaj, podobnie jak na Mokotowie, produkty otrzymywane na "wypiskę" dzieliło się między wszystkich mieszkańców celi. Dlatego, choć sam nigdy nie paliłem, kupowałem papierosy dla kolegów.

Po zjedzeniu śniadania rozpoczynał się normalny dzień: chodzenie po celi dwa kroki w przód, dwa kroki do tyłu. Spacer taki uprawiało dwóch - trzech z nas, reszta siedziała. Rozmawialiśmy na różne tematy, unikając politycznych z obawy, że może być między nami "kapuś". Wiadomym było, że starano się w każdej celi umieścić donosiciela, który informowałby "spec" o treści rozmów między więźniami, o panujących nastrojach, stosunku do władzy ludowej, ustroju i tak dalej. Tu należy wyjaśnić, że "spec" był funkcjonariuszem w roli swoistego komisarza, odpowiednikiem oficera polityczno-wychowawczego w wojsku. Obchodziło go wszystko, co działo się w celi, zwłaszcza o czym się mówiło.

Byliśmy więc ostrożni, obserwując się nawzajem, aż zauważyliśmy, że jeden z więźniów był ciągle wzywany do "spec". Po co? Wydawało się niewątpliwe, że to kapuś. I tak go też traktowaliśmy. Dopiero po jakimś czasie sprawa wyjaśniła się: kapusiem był ktoś inny, ktoś, kogo nigdy nie podejrzewalibyśmy o to. Facet ten nigdy nie był wzywany do "spec", a informacji udzielał klawiszowi (to jest strażnikowi więziennemu) podczas pobytu w łaźni. Zrozumieliśmy wówczas, że wzywanie do "spec" kogoś spoza grona kapusiów, było swego rodzaju zasłoną dymną, szatańskim sposobem skierowania podejrzania na osobę niewinną, przy pozostawieniu szpicla poza możliwością posądzenia o zdradę. To doświadczenie pozostawiło w mojej świadomości ślad do końca życia. Odtąd wiem, że można z kimś zjeść beczkę soli i nie poznać go naprawdę.

Jak już wspomniałem, czas w celi płynął głównie na rozmowach. Uprawialiśmy także swego rodzaju samokształcenie. Każdy, kto miał jakiś zasób wiedzy, przekazywał ją pozostałym. I tak uczono się języków, historii i innych przedmiotów humanistycznych, nie mając żadnych pomocy w postaci książek, czy choćby papieru i ołówka. Posiadanie bowiem tych przedmiotów było zabronione pod groźbą karceru, zabrania wypiski, odmowy prawa napisania listu (wolno było pisać raz na miesiąc), czy też widzenia się z rodziną.

"Widzenie" - to zbyt wielkie słowo. Jeżeli ktoś z rodziny zdobył się na przyjazd do Rawicza (daleko, duży koszt, nie każdy mógł sobie pozwolić), to musiał liczyć się z tym, że pozwolenia na widzenie może nie dostać. A jeżeli już dostanie, to rozmowa będzie trwać zaledwie dwie, trzy minuty, przy wyjątkowym szczęściu pięć minut. I co to była za rozmowa! Odbywała się ona przez dwie siatki, tworzące jakby korytarz, po którym przechadzali się klawisze. Za jedną siatką stali więźniowie, za drugą przybyli na rozmowę. Dzieliła ich spora odległość, więc każdy starał się przekrzyknąć sąsiadów. Powstawał z tego okropny krzyk, nie można było zrozumieć się nawzajem. Zupełnie, jak w tej anegdotce:

- Sprzedaj krowę!

- Co, synku? Rower?

Dziś można się z tego śmiać, a może i płakać. W każdym razie wówczas najczęściej pozostawały rodzinom skazańców tylko łzy.

Kara mogła także polegać na zabronieniu spaceru, który odbywał się raz na miesiąc, czasem nawet rzadziej, przez mniej więcej pięć minut. Na spacer wybierano z reguły dni deszczowe, wietrzne lub przy silnym mrozie, słowem przy jak najgorszej pogodzie. W czasie takiej promenady zelówki naszych drewniaków oblepiał czarny piach. Po powrocie do celi staraliśmy się chyłkiem umyć nasze obuwie, żeby nie brudzić betonu, na którym spaliśmy. Za taki jednak zabieg groził karcer. Przeżyłem to kiedyś, a było to - pamiętam - zimą, w lutym. Po powrocie ze spaceru umyliśmy szybko buty, kiedy wszedł do celi klawisz. Zajrzał do miski i tam znalazł, oczywista, piasek. Zabrał mnie więc do karceru na dwa dni.

Idącym do karceru zabierano ubranie. Siedziało się tu na golasa, a kacer był w piwnicy, nie opalany, wilgotny, przez cały czas dygotałem tam z zimna. W czasie mojego pobytu zajrzał do mnie strażnik, ubrany w palto. Stał w otwartych drzwiach i stwierdził z uśmiechem:

- Jak tu gorąco!

W południe częstowano nas obiadem. Była to wodnista zupa z kaszy lub grochówka okraszona wołkami zbożowymi, takimi małymi pasożytami. Po obiedzie wystawiało się na korytarz kibel i dzbanek na wodę. Do kolacji spędzaliśmy czas podobnie jak przed obiadem. Próbowaliśmy też czasami

grać w szachy wykonane przez więźniów z chleba. Jeden z nas musiał wtedy stać przy drzwiach, zasłaniając judasza, było to bowiem zabronione pod groźbą kary.

Około piątej po południu podawano kolację podobną do śniadania. W godzinę potem był apel wieczorny i wystawianie ubrań na korytarz. Od tej chwili obowiązywała cisza nocna.

Nasze miejsce do spania, czyli podłoga celi, miała - jak już wspomniałem - powierzchnię około pięciu metrów kwadratowych. Chcąc jak najracjonalniej wykorzystać tę przestrzeń, na której musiało pomieścić się sześciu mężczyzn, wymyśliliśmy system "trójkowy". Polegało to na spaniu po trzech "na waleta" na jednym boku. Nieuświadomionym wyjaśniam, że spanie "na waleta" polega na przemiennym ułożeniu się nogami do głowy sąsiada. Spało się właściwie na betonie, gdyż zawarta w tak zwanych siennikach sieczka, pod wpływem ciężaru ciała rozsypywała się na boki. Pod oknem było zimno, ale najgorzej mieli ci, którym wypadło trzymać głowę przy kiblu. Dotarcie nocą do kibla było prawie niemożliwe. Latem wszyscy dusili się z braku powietrza.

Poza unormowanym trybem życia codziennego i nader skromnymi "rozrywkami" wymyślanymi przez więźniów, władze także od czasu do czasu starały się urozmaicić nasze szare dni.

Najbardziej "rozrywkowy" seans miał miejsce któreś zimy, w lutym, o ile pamiętam. Od rana zaczął się dziwny ruch w naszym pawilonie. Nie wydano nam śniadania, kazano natomiast rozebrać się do naga i poddano nas szczegółowej rewizji. Przedefilowaliśmy potem w stroju Adama przed dyrektorem departamentu więziennictwa MBP, którym okazała się kobieta. Pamiętam wyraźnie dziś jeszcze jej triumfujący wzrok, kiedy stała w rozkroku w długiej pelisie, patrząc z wyraźną satysfakcją na nasze poniżenie. Na ten pochód nagusów, wśród których byli biskupi, księża, profesorowie, uczeni - wszyscy ci, którzy odważyli się podnieść rękę na władzę komunistyczną, którym śniła się wolna Polska.

W czasie naszej nieobecności w celach odbywała się drobiazgowa rewizja. Wysypywano sieczkę z sienników, mieszano z nią znalezione resztki żywności, z trudem nieraz zdobytej na wypiskę. Gorszego zniszczenie nie mógłby dokonać huragan czy trąba powietrzna. W budynkach, gdzie przebywali więźniowie pracujący, zrywano drewniane podłogi. Trwało to trzy dni. Trzy dni bez jedzenia, bo kuchnia przez ten czas była nieczynna, gdyż i tam przeprowadzano szczegółową rewizję.

Początkowo byliśmy zdezorientowani, nie mieliśmy pojęcia, co było powodem tego kataklizmu. Ale wkrótce wyjaśniło się. Poszukiwano radiostacji przekazującej wiadomości do Radia Wolna Europa. Okazało się, że rozgłośnia ta nadawała na bieżąco wiadomości zawierające

relacje z Rawicza. Mieliśmy jednak ogromną satysfakcję, kiedy dotarła do nas wiadomość, że w czasie trwania owej trzydniówki poszukiwań, RWE podało szczegółową relację z przebiegu rewizji w naszym więzieniu. Łatwo sobie wyobrazić wściekłość i strach tutejszych funkcjonariuszy. Każdy z nich w tej sytuacji mógł być posądzony o współpracę z Wolną Europą, co może kosztować nie tylko karierę, ale także zmianę statusu z pilnujących na pilnowanych, a - kto wie, czy nie życie. Poza wszystkim, musieli oni chyba uświadomić sobie w tym momencie, że wiatr może powiać z innej strony i kiedyś może przyjdzie im odpowiadać za swoje wyczyny.

Nadszedł rok 1953. Pewnego dnia zapanowało w pawilonie ogromne poruszenie. Strażnicy biegali zdenerwowani, o byle co wymyślali więźniom, widać było, że coś wytrąciło ich ze zwykłej równowagi. Co się stało? Więźniowie, jak zwykle, nic nie wiedzieli, bo pawilon był skutecznie odizolowany od wiadomości z zewnątrz. Ale nie ma rzeczy niemożliwych dla Polaków i w Polsce. Dowiedzieliśmy się wreszcie: Stalin nie żyje! Radość ogromna. barometr nadziei skoczył jak najwyżej. Taki nastrój panował po stronie skazańców. Natomiast na oprawców padł strach: co będzie dalej? Co wyniknie dla nich z faktu śmierci "chorążego pokoju"? Swoją rozterkę i poczucie zagrożenia wyładowywali na więźniach. Zaczęły się kipsisze, karcery, szykany.

Przyszedł dzień pogrzebu. O godzinie dwunastej, w samo południe, zawyły syreny. Więźniowie zebrani w szeregu w swoich celach musieli stać na baczność z powagą na twarzy. A to była rzecz najtrudniejsza. Przecież wszyscy cieszyliśmy się, było nam wesoło, jak nigdy dotąd, chcieli się śmiać, skakać, wiwatować. Z trudem więc panowaliśmy nad sobą, bo klawisze zaglądali przez judasze i kto choćby skrzywił się, lub stał nie dość prosto - szedł do karceru. Mimo naszych starań klawisze mieli bogate żniwo, bo bardzo trudno było opanować rozszadającą nas radość.

Początkowo nie czuliśmy zmiany na lepsze po przemianach, jakie nastąpiły w kraju rad. Dopiero w lipcu 1953 roku odnieśliśmy pewien sukces, kiedy to wybuchł bunt całego pawilonu. Lipiec był wówczas wyjątkowo upalny. Stłoczeni w małych celach, przy niedostatku powietrza, odczuwaliśmy to szczególnie dotkliwie. Nie można było nawet leżeć. Wypiliśmy błyskawicznie cały dzbanek gęstej od kurzu wody. Wypadło tego po niecałe pół litra na głowę. Zaczęły się omdlenia. Trzeba pamiętać, że okna w celach, nie dość, że małe, były zastłonięte tak zwanymi "koszami". Żaden, choćby najłżejszy, ruch powietrza nie docierał więc do cel.

Zaczęto dobijać się do drzwi, wołając o wodę. Służba więzienna nie reagowała. Walenie w drzwi zaczęło rozszerzać się na cały pawilon, wzmożły się krzyki żądające wody i lekarza. Nasiliło się to około 9 wieczorem.

Łomoty w kraty i drzwi pokrywami od kibli, miskami, wrzaski nie z tej ziemi - musiały dotrzeć nie tylko do służby więziennej, ale też do przechodzących w pobliżu mieszkańców Rawicza. Na klawiszy padł strach: jeśli miasto usłyszy ten niesłychany wrzask, to jak go zinterpretuje? Mordują więźniów? Walczą z nimi? A jeśli to zostanie przekazane do Radia Wolna Europa?

Dopiero jednak na rozkaz naczelnika więzienia otworzono cele, pozwolono je przewietrzyć, dano nam świeżą wodę. Nikogo nie ukarano. Był to pierwszy znak nadchodzących zmian. Zabrakło krwawego tyra.

Paroletni pobyt w opisanych warunkach "lokalowych", niedożywienie, stresy, szczególnie odczuwane przez palaczy, którzy w strzępki papieru zawijali sieczkę z sienników lub wysuszone liście wiśniowe - zaczęły zbierać plony w postaci gruźlicy i zgonów. Niemal codziennie wyjeżdżał ktoś w "jesionce z desek".

Dostanie się do izby chorych było bardzo trudne. Dopiero pod koniec panowania Bieruta zaczęto nieco łaskawszym okiem spoglądać na ciężkie przypadki i kierowano je do izby chorych. Lekarzami byli więźniowie. Robili, co mogli, żeby ratować życie współtowarzyszy niedoli. Ale jak? Nie mieli leków. Naczelnik nie zgadzał się na dostarczanie leków przez rodziny. Jednak już sam pobyt w innych warunkach był szczytem marzeń. Duże okno, samodzielne łóżko, trochę lepsze odżywianie - czyniły cuda.

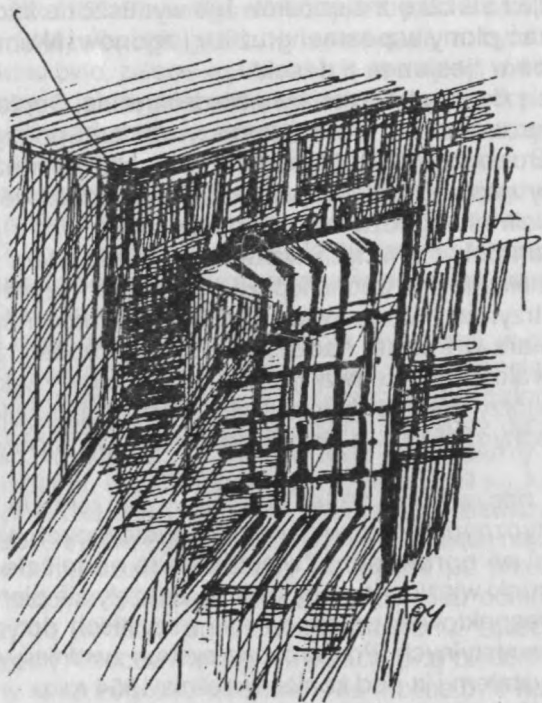
Poza tym trzymała wiara. Wiara w Boga jako moc i sprawiedliwość ostateczną, wiara w Polskę, nadzieja, że to musi upaść, że to musi się zmienić - dawało siłę przetrwania. Ludzie wierzący znajdowali siły na przeżycie. Niektórzy więźniowie ważyli około czterdziestu kilogramów, wyniszczeni, o jednym płucu - a jednak przeżywali. Ci, którzy tracili wiarę - ginęli.

I w końcu naszedł rok 1954. Rok, kiedy zaczęły się przemiany w myśleniu politycznych bonzów partyjnych, walczących o władzę, którą chcieli przejąć po oprawcach. Zwiastowało to nadejście zmian.

Zelżały warunki więziennego bytowania. Zaczęły się pierwsze zwolnienia. Zaczęto respektować postanowienia wszystkich dotychczas wydanych ustaw amnestyjnych. Przywrócono system zwolnień warunkowych, z czego skorzystałem i ja pod koniec września 1954 roku.

Znalazłem się znów na wolności. Żona moja wraz z naszym synkiem mieszkali wówczas w Ostródzie, dokąd natychmiast pojechałem. Nikt, kto nie był przez lata odseparowany od najbliższych, nie jest w stanie zrozumieć szczęścia, jakiego doznaje człowiek, znalazłszy się w gronie rodziny po długiej rozłące. Pragnąłem poświęcić moim bliskim całe moje życie, wszystkie siły, wynagrodzić mojej żonie, która jakże dzielnie walczyła o byt naszego dziecka i własny, wszystkie trudy, rozterki i samotność tych sześciu koszmarnych lat.

Na razie jednak sam wymagałem troski i leczenia. Przywożłem ze sobą gruźlicę i rozkołatane serce, słowem - mojej żonie przybył jeszcze jeden problem. Ale byliśmy wreszcie razem. I była z nami miłość, i towarzyszyła nam nadzieja, rzecz najważniejsza w życiu.



rys. Jerzy Blancard